

TOMASZ HAJTO, CEZARY KOWALSKI

TOMASZ

**HAJTO**

**OSTATNIE ROZDANIE**

AUTOBIOGRAFIA

**SON**  
10 LAT RAZEM  
SINE QUA NON

# TOMASZ HAJTO

## OSTATNIE ROZDANIE

*Ostatnie rozdanie to książka, którą mogę polecić absolutnie każdemu. Tomek dzieli się wspomnieniami z czasów kariery i nie unika trudnych, czasami nawet bolesnych tematów. Dzięki tej książce poznacie go z zupełnie innej strony.*

**SŁAWOMIR PESZKO**

*Tomasz Hajto to postać nietuzinkowa, człowiek charakterny i prawdziwy „góral”. Przez lata naszej znajomości dowiedziałem się o nim wiele, lecz ta książka nawet przede mną odsłoniła kolejne tajemnice. Polecam!*

**ARTUR SOBIECH**

*Tomek, który jest moim oddanym przyjacielem, jeszcze nigdy aż tak się nie otworzył. Poznajcie jego historię!*

**PIOTR ŚWIERCZEWSKI**

TOMASZ HAJTO, CEZARY KOWALSKI

TOMASZ  
**HAJTO**

**OSTATNIE ROZDANIE**

AUTOBIOGRAFIA

KRAKÓW 2020

## Tomasz Hajto. Ostatnie rozdanie. Autobiografia

Copyright © by Tomasz Hajto 2020

Copyright © by Cezary Kowalski 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Grzegorz Krzymianowski

Korekta – Agnieszka Zygmunt, Maciej Cierniewski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografie na okładce i na stronach rozdziałowych – Aleksander Ikaniewicz

Autor i wydawca dołożyli wszelkich starań, by dotrzeć do wszystkich właścicieli i dysponentów praw autorskich do ilustracji zamieszczonych w książce.

Osoby, których nie udało nam się ustalić, prosimy o kontakt z wydawnictwem.

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN: 9788382100471



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagatęk, Tomasz Czernich

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

ADMINISTRACJA I FINANSE: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnier, Michał Rędzia

[www.wsqn.pl](http://www.wsqn.pl)

[www.sqstore.pl](http://www.sqstore.pl)

[www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

## TYTUŁEM WSTĘPU

Piłka nożna bywa najprzyjemniejszą rzeczą na świecie. Może dać ci tyle szczęścia, że nie jesteś w stanie tego unieść. Innym razem sprawia ból nie do wytrzymania, zarówno fizyczny, jak i psychiczny. Futbol daje, nagradza, ale też błyskawicznie odbiera, gnoi, sprawia, że czujesz się zerem. Poznałem go z każdej strony i nie mam zamiaru prawić banałów, że w najmniejszym stopniu nie zmieniłbym tego, co przeżyłem. Przeciwnie, gdybym mógł cofnąć czas, wiele spraw poprowadziłbym inaczej, podjąłbym inne decyzje, dokonał innych wyborów. Jedno jest pewne: tego, czego doświadczyłem jako zawodnik, nie da się kupić za żadne pieniądze.

W związku z tym, że grałem w piłkę na wysokim poziomie, jestem postacią publiczną, a że nigdy nie gryzłem się w język, więc musiałem się liczyć, że w moim środowisku nikt nie będzie przechodził obok mnie obojętnie. Nie ukrywajmy: wywołuję emocje, choć nie jest to moim celem. Tłumaczyłem swoim wspaniałym dzieciakom, Mateuszowi i Wiktorii, od najmłodszych lat, że jestem rozpoznawalny, więc siłą rzeczy mam wrogów i przyjaciół, bo tak działa ten świat i w sporcie to normalne. Powtarzałem im, że

człowiekowi potrzebni są jedni i drudzy. Że oznacza to, że coś się w życiu osiągnęło. Można przecież przejechać supergigant, być 62. na 64 startujących i nie dotknąć żadnej tyczki. Ale czy o to chodzi w sporcie i życiu?

Używam narciarskiego porównania, bo obok piłki narty to moja ulubiona dyscyplina sportu. Jeśli nie dostałeś od Boga talentu, aby jeździć na poziomie Zurbriggena, Stenmarka czy Tomby, musisz o wszystko walczyć. Ja zaliczałem się właśnie do tej drugiej grupy: o wszystko biłem się gołymi pięściami, do tego drapałem pazurami i kopałem, także po kostkach. Zawsze nadrabiałem sercem, zaangażowaniem, charakterem. Po drodze musiałem kilku ludzi poprzepychać, uderzyć łokciem. To normalne, że nie wszyscy mnie kochają. Nie obrażam się z tego powodu. Warto zresztą umieć przyznać się do błędów, a przecież je popełniałem. Najważniejsze jednak to wyciągnąć z nich wnioski – i to staram się robić.

W tej książce zdarza mi się oceniać ludzi, niektórych surowo, ale nigdy przez pryzmat życia prywatnego, choć w wielu przypadkach wiem o nich naprawdę dużo. Chciałem pokazać, tak jak kiedyś Jurek Dudek, że dobra historia to nie musi być zbiór skandali. Ale nie uciekam tu od szczerości i prawdy o wielu istotnych tematach – mam nadzieję, że rzucę nowe światło na wiele spraw z przeszłości, jak choćby sposób dzielenia pieniędzy z reklam podczas mundialu w Korei i Japonii czy korupcję w polskiej piłce. Kwestie obyczajowe

z premedytacją pomijam – jak to się mówi w górach: co wydarzyło się w bacówce, zostaje w bacówce.

Mam 48 lat i widzę dużo rzeczy znacznie wyraźniej niż kiedyś. Łatwo mi teraz powiedzieć, z kim nie trzeba się było zadawać, gdzie nie należało chodzić. Wiem, że mnóstwo spraw powinienem zrobić inaczej. Ta książka to opowieść o tym wszystkim, co mnie spotkało – o moich wzlotach i upadkach, o zwycięstwach i niepowodzeniach. Moje rozliczenie z przeszłością.

## O KORUPCJI W POLSKIEJ PIŁCE

Szkoda mi końcówki tego sezonu 1993/94 i całego następnego. Dzisiaj się mówi, że należy sprawę ówczesnej korupcji zamieść pod dywan, bo raz – to było dawno, a dwa – wszyscy rzekomo w tym siedzieli. Takie niby były czasy. Ale to bzdura. Trafiali się ludzie niebiorący w tym procederze udziału, także młodzi potrafili powiedzieć „nie”. Ja też dopiero wchodziłem do świata piłki, ale nie brałem w tym udziału. Mogę dziś bez wstydu spojrzeć w lustro. Potrafiłem powiedzieć, że się w to nie bawię, bo miałem inne priorytety – chciałem grać w kadrze, wyjechać za granicę. Zdarzały się, oczywiście, z tego powodu kłótnie w szatni. Normalna sprawa: rozgrywałeś mecz, przegrałeś i nie miałeś do końca pewności dlaczego. Czy dlatego, że byłeś słabszy, czy dlatego, że ktoś handlował punktami?

Wyjątkowo zirytowało mnie starcie z ŁKS. Rywale chcieli od nas kupić mecz, ktoś do kogoś zadzwonił i zapytał, czy bylibyśmy zainteresowani sprzedażą. Poszedłem z tym do trenera Lorenasa i powiedziałem, że

nie wyobrażam sobie, żeby zrobić coś takiego i dzielić się pieniędzmi. Ci, którzy głosowali za, argumentowali, że klub nam nie płaci i nie mamy za co żyć. Trener stanął po mojej stronie. Mówił, że to byłoby przetrącenie kręgosłupa sportowca, że tak nie można funkcjonować, że to jest zaprzeczenie pracy, którą wykonujemy. Dyskusja zrobiła się gorąca, ale powiedziałem, że mnie to nie interesuje i koniec. Po głosowaniu stanęło na tym, że jednak meczu nie sprzedajemy. Ale wiecie, jak to w piłce jest – zwykle po jakimś czasie wszystko wychodzi na jaw. Okazało się, że pięciu moich kolegów opierdoliło to spotkanie na własne konto. I takich sytuacji w tym kryzysowym czasie trochę było. Nagle zaczęły pojawiać się proste błędy, które normalnie się nie zdarzały: a to ktoś minął się w dziwny sposób z piłką, a to ktoś zrobił bezsensownego karnego.

Generalnie, kiedy próbowano kupić mecz, dzwoniło do obrońców albo bramkarza, bo grając na tych pozycjach, najłatwiej sprzedać i jakoś to zakamuflować. A ja nie dość, że byłem obrońcą, to jeszcze grałem w reprezentacji Polski, więc jakiś wpływ na zespół miałem. Pamiętam ze trzy propozycje korupcyjne, które dostałem bezpośrednio. Raz dzwonił do mnie pewien działacz z Bełchatowa, bo GKS potrzebował zwycięstwa. Zaczepił mnie później w drodze do szatni przed meczem. „Zrób tak, żebyśmy wygrali – powiedział. – Jeśli się uda, to zobacz, co na ciebie czeka”. Wziął mnie do gabinetu i pokazał teczkę pełną pieniędzy. Ale

stwierdziłem, że mam to w dupie. Poszedłem do szatni, ogłosiłem, że nas podchodzą i jeśli się dowiem, że ktoś opierdolił mecz, to go osobiście rozjebię. Wygraliśmy.

Kiedy poszła fama, że nie biorę, to nikt już do mnie nie dzwonił. Tyle że dzwoniли do innych, i to z pozytywnym skutkiem. Nieraz narobiłem się na boisku, a potem się okazywało, że niepotrzebnie, bo ktoś wziął kasę i puścił mecz. Na przykład w spotkaniu z Hutnikiem, moim byłym klubem, nie grałem z powodu kontuzji i usiadłem na trybunach. Przyleciał do mnie Marek Kostrzewa, drugi trener, i się drze: „Co ty opierdalas? Siedzisz na trybunach i cash liczysz, a oni mecz opierdolili Hutnikowi”. Pytam Marka: „Czy ty pierdolnięty jesteś? Idź do tych, co sprzedali”. W klubie zrobiła się z tego afera, wzywano zawodników na przesłuchania, ale co prawda, to prawda – mecz śmierdział na kilometr.

A do tego jeszcze sędziowie, skorumpowani chyba bez wyjątku. Gdy jechało się do takich Wronek na mecz z Amicą, to trzeba było po prostu założyć, że cię oszukają, i te stracone punkty uwzględnić w planach. Tak czy inaczej, cieszę się, że nie poznałem legendarne-go Fryzjera i nigdy do niego nie dzwoniłem...

## **REPREZENTACJA JANUSZA WÓJCIKA**

Pierwszy mecz eliminacji do Euro 2000 graliśmy z Bułgarią na wyjeździe, w Burgas. Spaliśmy w jeszcze niewykończonym hotelu Stoiczkowa. Rano mieliśmy zaplanowany rozruch. Jechaliśmy na boisko tak ze 20 minut. Ktoś ze sztabu szkoleniowego w autobusie przyłożył głowę do szyby – był tak najebany, że cała zaparowała. Wreszcie „działa narodu” wytoczyły się z autokaru. Żadnej odprawy, nikt nam nie powiedział, co w ogóle będziemy robić na treningu. A potem się okazało, że nie wpuszczą nas na boisko. Wyobrażacie sobie? Nie załatwiono nam treningu przed meczem eliminacyjnym! Pojechaliśmy na drugie boisko, ale i tam brama była zamknięta. W końcu zabrali nas do jakiegoś parku. Przypominał boisko jakiegoś LZS-u: dziury, kamienie, kopnięcie piłki po ziemi było niemożliwością, nie dało się normalnie pograć. Na rozruchu każdy robił, co chciał. W dziadka nie dało się zagrać, a ćwiczenie stałych fragmentów gry wiązało się z ryzykiem

kontuzji. Potruchtaliśmy więc 20 minut i usłyszeliśmy: „Dobra, panowie, koniec. Wracamy”.

Pomyślałem sobie, że nic już nie jest w stanie mnie zaskoczyć. A jednak... W hotelu miałem pokój z Tomkiem Łapińskim. Ile on jarał – to był prawdziwy komin! W torbie na te trzy dni miał chyba więcej paczek fajek niż sprzętu sportowego. Położyłem się po obiedzie, chciałem kimnąć się ze dwie godziny, bo w Niemczech przyzwyczałem się do obowiązkowej sjesty. Po jakimś czasie otworzyłem oczy i pomyślałem, że coś się pali. Ale spojrzałem na Łapę, a ten siedzi sobie spokojnie z książką w ręce, a obok popielniczka pełna petów i tabliczka czekolady. Nie znałem wcześniej Tomka, więc pytam: „Co ty robisz?”. A on: „Jem po to, by palić”. Gryzł odrobinę czekoladki, jarał kolejną fajkę i czytał książkę. „Nie kładziesz się spać?” „Nie, ja muszę poczytać”. „Ale słyszałem, że czytanie niedobrze działa przed meczem” – naciskałem, a on spokojnie odpowiedział: „Mnie tam robi bardzo dobrze”. „No to weź chociaż otwórz okno, bo się uduszę” – poprosiłem.

Ja też sięgałem po papierosy, ale nie tak dużo. W Niemczech zawsze paliło z pięciu czy sześciu chłopaków z drużyny. Chodziło się do toalety, włączało gorący prysznic, zamykało drzwi, żeby nie przeszkadzać koledze w pokoju. A jak i tak mu się to nie podobało, to wychodziło się palić na zewnątrz. Ale choć sam paliłem, to w trakcie mieszkania w pokoju z Łapą czy miałem czerwone, jakby ktoś mi w nie nasypał piasku.

Mówiłem: „Tomek, przez ciebie rzucę palenie. Nigdy nie wypaliłem tyłu fajek, co w czasie snu przy tobie”.

Tak właśnie wyglądało za Wójcika przygotowanie do meczów. Tak naprawdę gdyby nie to, że byliśmy w miarę poukładani i wielu kadrowiczów grało za granicą, to nie bylibyśmy w stanie nic zrobić, bo odprawy i treningi miały zerową wartość merytoryczną. Przyjeżdżałem na kadrę z Niemiec, gdzie liźnałem już profesjonalnej piłki. Byłem przyzwyczajony do innego poziomu organizacyjnego, więc dla mnie to, co działo się na zgrupowaniach reprezentacji, to był siedmiomilowy krok wstecz. Te gadki motywacyjne, wyjazdy na niezafatwione boisko, chaos, brak odpraw przed rozruchem... A gdy w dniu meczu zobaczyłem na odprawie trenera, który założył koszulkę tył na przód, tak że metka wystawała mu spod brody, to pomyślałem, że trzeba się zawijać, bo nie ma szansy normalnie grać.

Wygraliśmy jednak z Bułgarią 3:0. Dwa gole strzelił Sylwek Czereszewski, jednego dołożył Tomek Iwan, a ja zagrałem na prawej pomocy. Pojawiła się jednak plotka, że mecz był załatwiony ze Stoiczkowem, który rzekomo odwiedzał nas w hotelu. Ale to była nieprawdopodobna bzdura. Po co kupować pierwszy mecz w eliminacjach? Debilizm. W każdym razie ja o niczym nie wiedziałem i do dziś nie wiem.



## O AFERZE PAPIEROSOWEJ

Siedzimy na tych moich urodzinach, robi się pierwsza w nocy, okazało się, że skończył się alkohol. I fajki też. Mówię do gościa, że mogę mu dać mentolowe, a on na to, że pali tylko normalne. W Polsce nie byłoby problemu, zamówiłoby się taksówkarza, który za chwilę zrobiłby zakupy i wszystko przywiózł. W Niemczech nie było jednak wtedy takiego zwyczaju. Musiałbym jako gospodarz jechać z nim na stację benzynową i wszystkich zostawiać. Nie chciało mi się tak kombinować. Przypomniałem sobie jednak, że mam kupionego na wyjazd na reprezentację błękitnego johnny'ego walkera, bo zawsze po meczu wypijaliśmy sobie z chłopakami po dobrym drinku.

Sąsiad, który mieszkał obok nas z partnerką Polką – mieli też córkę w wieku mojego syna – rzucił w pewnym momencie: „Wiecie co, mam w domu cały karton fajek”. No i przyniósł całą sztangę. „Macie tu czerwone westy. Czasami ktoś mi przywiezie” – wytłumaczył. Zaczęliśmy palić na balkonie i gadać o tych fajkach. Że

dobrze i w ogóle, a sąsiad pochwalił się, że może zamówić nawet po 20–30 takich sztang, i to w dobrej cenie. Wtedy fajki były po pięć euro, a on chyba powiedział, że da radę zorganizować nawet po dwa za paczkę. „Jeśli ktoś by chciał, to dzwońcie do mnie, ja to ogarnę” – rzucił. Ktoś stwierdził zachwycony: „To nieprawdopodobne. Ja palę paczkę dziennie, żona też, to sobie policzcie, ile my wydajemy na papierosy”. A inny dodał: „Ja nie palę, ale ktoś tam pali, to bym wziął na prezent”. Mieli wziąć numer do Marka, żeby zadzwonić. Ale – jak to na imprezie – w końcu tego numeru nie wzięli.

A później zaczęli do mnie wydzwaniać jeden po drugim: „Tomek, weźże zamów mi 20 sztang”. Gdybym wiedział, że facet od tych papierosów już jest podsłuchiwany przez policję i że chodzi o przemyt całymi tirami, tobym nie dzwonił, tylko zapukał do jego drzwi i normalnie go poprosił.

A ja zadzwoniłem i mówię, że ten chce tyle, a ten tyle, masz tu ich numery, pogadajcie sobie. A on mi na to, że nie ma sprawy. I zadzwonił do jakiejś swojej bazy, żeby mu odłożyli te 50 kartonów i napisali, że to dla Tomka Hajty. Wiem to, bo już podczas procesu mogłem sobie odsłuchać nagranie.

Zadzwoniłem znowu do tego znajomego, gdyjechałem samochodem na trening: „Przywieź mi to do klubu”. Bo sam też wziąłem 20 sztang. Nie dla siebie ani nie na handel, tylko na prezent. Gdybym handlował, tobym poszedł do więzienia.

Potem pojechałem na mecz z Borussią Mönchengladbach. Aż tu nagle, na spacerze przed spotkaniem, odbieram telefon od sąsiada, ale nie tego od papierosów: „Panie Tomku, proszę się nie denerwować, ale przyjechała policja, wyłamali drzwi i przeszukują panu mieszkanie”. Jak się okazało, policjanci sprawdzali, czy nie mam towaru w domu, czy nie jestem szefem całej grupy, czy jej nie finansuję, czy nie mam gotówki pochowanej w kaloryferach albo w podłodze. Wszystko mi przeszukali, nawet komputer. I dowiedziałem się o tym przed meczem.

Pomyślałem sobie: „Tomek, kurwa, ale będzie afera. Na sto fajerek”. A kiedy strzeliłem gola, to coś we mnie pękło, podbiegłem do trybun i zacząłem krzyczeć ze złością: „Scheiße Pole” (pierdolony Polak), choć pewnie jeszcze nie wszyscy wiedzieli, o co mi chodzi i o co będę posądzony. Po meczu jednak podszedł do mnie Rudi Assauer i powiedział, że w poniedziałek będzie o mnie artykuł w „Bildzie” i że musimy się wtedy spotkać w klubie. Wiedziałem, że jako gospodarz zawsze przyjeżdżał pierwszy, o siódmej rano. Pojawiłem się przed treningiem.

Assauer mówi: „Słuchaj, wyłącz telefon, gadamy szczerze. Nie mam wpływu, co oni napiszą, nie jestem w stanie niczego w mediach przyblokować, to są Niemcy. Ale powiedz mi, co masz z tym wspólnego”. Opowiedziałem wszystko po kolei, tak jak tutaj. A on na to: „Przysięgnij, że tak było, że z nimi nie handlowałeś.

Jeśli przysięgniesz, to wezmę ci najlepszego adwokata i będziemy cię bronić”. Mówił, że dzwonił już do Ulego Hoeneßa i radził się go, co robić. Generalnie mnie pocieszał; uwierzył mi, że nie chciałem na tym zarabiać, ale zrobić komuś przysługę. Szczególnie, że jedną z zamieszanych w to osób znał bardzo dobrze i ona wszystko potwierdziła.

Myślałem, jak zeznawać w sądzie, a w tym czasie ruszyła lawina. Żartowałem później, że w telewizyjnych wiadomościach w Niemczech wcześniej pojawiał się systematycznie tylko jeden Polak – Jan Paweł II. Ja byłem drugi, tyle że – niestety – z czarnym paskiem na oczach. Nigdy wcześniej nie przeżyłem czegoś gorszego. Strasznie mnie to pierdolnęło, zdruzgotało psychicznie, choć tak naprawdę podsłuchy policyjne były dla mnie korzystne, bo jasno z nich wynikało, że nie byłem w tej aferze żadnym kołem zamachowym i że niczym nie handlowałem.

## O SCHALKE

Nie szło nam w tej Lidze Mistrzów zbyt dobrze – w trzecim spotkaniu też przegraliśmy – tym razem u siebie z Mallorcą (0:1). Jechaliśmy na mecz rewanżowy z Mallorcą bez punktów na koncie. U rywali grał jeszcze wówczas Samuel Eto'o, ale miał już przyklepany kontrakt z Barceloną.

W drużynie nie było już takiej dobrej atmosfery jak wcześniej. Zaczęliśmy trochę tracić kontrolę nad sytuacją, mieliśmy pretensje jeden do drugiego. Polecieliśmy do Hiszpanii wcześniej. Zaprosił mnie do siebie Assauer i powiedział, że ma plan, jak wyjść z dołka. Mieszkaliśmy w przepięknym hotelu, najładniejszym, w jakim w życiu mieszkałem: wspaniale podświetlonym, z pięknym polem golfowym i widokiem na morze. Rudi ulokował Stevensa w zupełnie innym skrzydle niż piłkarzy, a podczas naszej rozmowy wyjął z kieszeni plik pieniędzy i stwierdził: „Słuchaj, Tomek, masz tu 15 tysięcy marek, to moje prywatne pieniądze. Weź tę drużynę, zamów, co trzeba, i poważnie sobie pogadajcie, macie się porozumieć. Bo to, co się dzieje, zupełnie mi się nie podoba. Tak dłużej nie może być!”.

Taką przyjął taktykę – nie chciał jeszcze reagować oficjalnie, próbował poprawić klimat dyskretnie. Nie wiem, dlaczego uznał, że akurat ja najlepiej rozkręcę imprezę, ale się nie pomylił.

Najebaliśmy się jak biszkopty. Niektórzy leżeli pijani na podłodze, wszędzie walały się puszki i butelki. Paliliśmy cygara po 100 marek, wypiliśmy wszystkie napoje z minibarku i zaczęliśmy zamawiać kolejne: szampany, wódka, whisky, no i wino, które najchętniej pił Marc Wilmots. To była impreza, na którą pozwolenie dał nam dyrektor sportowy, więc nie widzieliśmy żadnej konieczności, żeby się ograniczać. Muzyka grała na całego, jak w klubie nocnym. Nad ranem zaczęliśmy się trochę nudzić, więc urządziliśmy sobie konkurs: kto trafił butelką w lampę na polu golfowym i ją rozbił, inkasował 100 marek. Sporo ich zniszczyliśmy i oczywiście musieliśmy pokryć koszty tych strat.

Następnego dnia, czyli w poniedziałek, trening mieliśmy później – Assauer zadbał nawet o taki szczegół. Ale nie powiem, że bym czuł się świeżo. Na odprawie przed meczem okazało się, że nie gra Böhme, co było pewną niespodzianką. Jörg żalił się, że wszyscy piliśmy, a tylko jego trener usunął ze składu, ale tak naprawdę nie miało to nic wspólnego z libacją. Zresztą dobrze nam ona zrobiła, bo wygraliśmy 4:0, a ja strzeliłem gola z karnego.

Takich imprez jak na Majorce nie było ani wcześniej, ani później. Owszem, spotykaliśmy się czasem

na jakiejś kolacji czy podwieczorku, ale kończyło się to na maksymalnie kilku drinkach, zawsze coś zjedliśmy, zrobiliśmy grilla. W drużynie nie było zresztą nikogo, kto wyróżniałby się rozrywkowym podejściem do życia. Nie da się balować, grając co trzy dni, a to w Bundeslidze, a to w Lidze Mistrzów – po prostu nie ma na to czasu.

Następny mecz, w Atenach z Panathinaikosem, znowu jednak przegraliśmy i było po ptakach – ta porażka oznaczała, że nie wyjdziemy z grupy. W autokarze, który wiozł nas na lotnisko, zobaczyłem wolne miejsce obok Assauera, który pił sobie kawę z brandy i palił cygaro. Rzucił do mnie: „Siadaj, po tym spotkaniu jako jedyny zasługujesz, żeby obok mnie siedzieć”. Rudi zawsze był szczery i bezpośredni. Bardzo mu zresztą zależało na awansie do fazy pucharowej i dlatego podchodził do tematu emocjonalnie.

## O WYPADKU

Minęło 14 lat, a cały czas to przeżywam... Byłem trzeźwy, ale przekroczyłem prędkość. Mogłem przecież jechać ostrożniej, wolniej. W końcu prowadziłem potężne auto, chryslera, a opony zimowe podczas deszczu miały słabszą przyczepność. Jechałem prawym pasem i ta kobieta weszła na ulicę tuż obok przejścia dla pieszych, ale jednak w jego obrębie. W ogóle nie widziała, jak nadjeżdżam – gdyby się zatrzymała, być może jakoś bym ją ominął. Dosłownie centymetry dzieliły życie od śmierci. Chciałem uciec w lewo albo na przystanek, ale było za późno. A potem to uderzenie, huk...

Zadzwoiłem po pomoc i – co ciekawe – pierwsza przyjechała lokalna telewizja. Ewidentnie służby dały cynk mediom, które okazały się szybsze od pogotowia. Dziennikarze robili mi zdjęcia, ale o nic nie pytali. Potem zjawiła się policja. Zadzwoiłem do żony. Renia natychmiast przybiegła. Karetka, reanimacja tej pani... Modliłem się, żeby ją uratowali. Ale kiedy zobaczyłem, że nakrywają ją czarną folią, nogi się pode mną ugięły. Ogarnęła mnie rozpacz nie do opisania. Siedziałem na krawężniku i płakałem; ryczałem także później,

w radiowozie. Policjanci byli kibicami Widzewa, sami mi to od razu powiedzieli, ale bardzo starali się podtrzymać mnie na duchu. To wszystko przypomniałem sobie jakiś czas po wypadku, bo wtedy kompletnie się pogubiłem, nie wiedziałem, co się wokół mnie dzieje.

Na posterunku przebywałem do rana; przyjechał Marek Chojnacki, który siedział ze mną i rozmawiał, że bym nie zwariował. Był ze mną do końca, zachował się jak prawdziwy przyjaciel. Nigdy mu tego nie zapomnę.

Co czułem? Przez pierwsze godziny zupełnie nic. Gdy jesteś w szoku, to nie wiesz, co mówisz, nie panujesz nad sobą. Później, gdy dotarło do mnie, co się stało, było jeszcze gorzej. W ciągu sześciu dni schudłem osiem kilogramów. Długo nie mogłem się po tym podnieść psychicznie – byłem zdruzgotany, nie potrafiłem znaleźć sobie miejsca. Nie jestem człowiekiem ze skały, pękłem, nie mogłem się otrząsnąć. Przelatywały mi przez głowę różne myśli, również taka, żeby ze sobą skończyć...

## O REPREZENTACJI JERZEGO ENGELA

Pamiętam, jak trener przyjechał do nas do Duisburga na mecz z Unterhaching – wygraliśmy 2:0, co dawało nam szansę utrzymania. Po meczu razem z Engelem i Piotrem Reissem poszliśmy do chorwackiej restauracji przy stadionie Wedau. Pogadaliśmy, w pewnym momencie trener wyciągnął kartkę z rozpiską meczów w eliminacjach mistrzostw świata i po kolei wyjaśniał: „Tu wygramy, tu remisujemy, tu robimy awans”. Wracamy do domu z Piotrkiem, patrzymy na siebie: skąd ten gość się urwał?! Przyszedł znikąd, polska reprezentacja nie wywalczyła awansu na żaden turniej od 16 lat, a on z absolutnym spokojem i pewnością siebie tłumaczy nam, że pojedziemy na mundial, i to zapewniając sobie ten awans przed ostatnią kolejką. Porozpisywał sobie coś na kartce i bredzi. Czy to poważny facet? Szczerze mówiąc, nie potraktowaliśmy go serio.

Patrząc później na powołania przed meczem z Hiszpanią – nie ma mnie w kadrze. Drugi mecz – też nie. Engel nie tylko mnie nie powołał, choć zapewniał, że

widzi mnie w kadrze, lecz nawet nikt do mnie nie dzwonił. Dziwna sytuacja. Miały być awanse, a reprezentacja nie potrafi strzelić gola nawet w sparingu. Mówię sobie: dobra, robię swoje w Niemczech, a potem będę myślał, co dalej. Priorytetem był Duisburg – nawet gdybyśmy się nie utrzymali, musiałem pokazać się z jak najlepszej strony, żeby mieć możliwość odejścia do jakiegoś dobrego klubu.

Mój pierwszy mecz u Engela to spotkanie z Francją w Paryżu na początku 2001 roku. Wszedłem w drugiej połowie za Michała Żewłakowa. Rzut wolny, dobitka, piłka otarła mi się o nogę i tuż przed końcem Zidane zdobył zwycięskiego gola dla mistrzów Europy. Przegraliśmy 0:1.

Przed meczem wchodzę do szatni, a tam na stole leżą witaminy: Vitasport, B12, coś w tym stylu, już w tych nowoczesnych flakonikach, ale tylko 11 sztuk. Podchodzę, biorę jedną ampułkę, a tu podlatuje lekarz Stasiu Machowski i się wydziera: „Nie, nie, nie! Zostaw, to tylko dla pierwszego zespołu, mamy tego mało!”. Mówię: „Panie, u nas, w Niemczech, w średnim zespole Bundesligi leży tego w szatni od groma i każdy sobie bierze, ile potrzebuje, nawet do domu. A wy tu jakąś tajemnicę robicie”. Pierdolnąłem tą witaminą o ścianę, podszedłem do swojej torby i wyciągnąłem całą zgrzewkę. Mówię: „Bierzcie, wszyscy grają, a nie tylko pierwsza jedenastka”. Popatrzył na mnie spoode łba i poszedł pogadać z Engelem.

Generalnie jednak z trenerem na początku w ogóle nie miałem okazji rozmawiać. Nie byłem z tego rozdzania, nie byłem od niego. Wprowadzał wtedy Żewłaków, miał innych faworytów. Próbował na środku obrony Tomka Wałdocha z Jackiem Zielińskim, Zielińskiego z Jackiem Bąkiem. Na mnie za bardzo nie stawiał. Byłem w tej kadrze takim trochę niechcianym dzieckiem.

Kolejne powołanie dostałem już jako zawodnik Schalke, na mecz z Rumunią w Bukareszcie, w którym debiutował Emmanuel Olisadebe, strzelając od razu pierwszego gola dla reprezentacji. Wszedłem w 46. minucie. Znałem Rumunów występujących w Niemczech, Munteanu, Ganeę, trochę z nimi pogadałem. Nawet nieźle wypadłem i wydawało mi się, że sprawy idą w dobrym kierunku. Tym bardziej że już grałem w Gelsenkirchen, w bardzo mocnym zespole (byliśmy na pierwszym miejscu w tabeli w Bundeslidze), wychodziłem tam w pierwszym składzie i zbierałem bardzo dobre recenzje. Kombinowałem, że skoro dwóch Polaków gra w Schalke w pierwszej jedenastce, to chyba lepiej na środku obrony reprezentacji wystawić właśnie tę dwójkę niż mniej zgranych zawodników.

Jest bardzo wielu takich, co namawiają cię do gry i z tego żyją. Tacy ludzie są w kasynie codziennie. Traktują je jak zwykle miejsce do zarabiania. Nigdzie indziej nie pracują, często są na bezrobociu. Ale stale pojawiają się o tej samej porze w lokalu i czekają do rana. Znają graczy i ich techniki, wiedzą, kto jakie pieniądze może przegrać. Kiedy przyjeżdżałem z Niemiec, to w kasynie czekało na mnie kilkunastu takich gości.

Mówiłem, że jestem głodny, że zjadłbym frytki, i natychmiast znajdował się chętny, aby mi to jedzenie przywieźć: „Ja skoczę, mam auto”. „Kup duży kubek KFC” – mówiłem i dawałem mu 500 złotych, a że taki koleś nie przynosił reszty, to już mu parę stówek wpadało. Albo zamawiali mi taksówkę, odwozili rzeczy do prania. Wiadomo, że gdy w tamtych czasach wchodziłem do kasyna, to byłem traktowany jak VIP, więc miałem alkohol za darmo. Wszyscy mogli się przy mnie najeść i napierdolić. Siedziałem przy pokerze i mówiłem: „Idź tam, bo trzeba wrzucić 500 złotych na jackpot”. No to szedł, wrzucił czterysta, a ja przecież tego nie sprawdzałem. Gdy tylko się pojawiałem, to od razu się zdzwaniali: „Chodźcie, chodźcie, Hajto jest, na pewno zarobimy”. Trafiłem coś na ruletce czy na maszynie, to zawsze miałem ich za plecami. Podpowiadali: „Dobra, dobra, graj jedynekę, graj piątkę”. Cały czas słyszałem: „Dobra, chodź, odegrasz się, będzie dobrze, jedziemy, bo jest jackpot, bo jest losowanie... Nie graj na tej maszynie, zagraj na tej, teraz wpadło to, to

za chwile będzie tamto”. No i te powiedzenia: „Cała Warszawa gra, zaraz z dwóch będzie trzydzieści dwa”, „Warszawska kabała, czyli 11, 22, 33”. Kasyno wciąga. Poznajesz tych, co pożyczają, tych, co podpowiadają, tych, co przychodzą codziennie, aby „szczurować”. Byłem nimi otoczony. Kiedy wygrywałem, to dawałem tu stówkę, tam dwie. Jeśli konsekwentnie stali obok mnie, to lekko licząc, mogli mieć po 1000 czy 1500 złotych za noc.

## O HAZARDZIE

Być może jednym z największych błędów, jakie popełniłem w życiu, była pewna wizyta w kasynie w Warszawie, dokąd przyjechałem na weekend po jednym z meczów w lidze niemieckiej. Zacząłem grać w pokera, później w blackjacka. Wypiłem trzy drinki i nagle zemdlałem w fotelu. Był tam wtedy jeden ze znanych koszykarzy, pomógł mi wstać. Obsługa się wystraszyła, przyleciało dyrektorstwo lokalu. Dziwna sprawa, bo naprawdę wypiłem tylko trzy drinki, jak na moje możliwości to żadna ilość. Mogłem łyknąć przez noc litr whisky i nikt by się nie zorientował. Prawdopodobnie ktoś mi czegoś dosypał. Później mi mówili, że jakiś gość był poukładany z barmanką, ale ciężko coś stwierdzić z całą pewnością... Wkrótce jednak doszedłem do siebie, zacząłem pić i puściłem wodze fantazji. Straciłem rachubę i powiedziałem sobie: „Ach, pierdolę to, raz na jakiś czas można sobie zaszaleć”.

Dopiero następnego dnia, gdy przetrzeźwiałem, złapałem się za głowę i zdałem sobie sprawę, co narobiłem. Dopadł mnie moralniak, zastanawiałem się, co powiem w domu. Uświadomiłem sobie, ile przepuściłem

pieniędzy. To była jedna z moich większych przegranych – 350 tysięcy złotych. Z czego swoich 100 tysięcy, a 250 tysięcy pożyczyłem na procent.

Wróciłem do klubu, poszedłem na pierwszy trening, a później natychmiast do banku. Trochę miałem odłożone na koncie, zainwestowałem także w akcje Porsche, ale nie chciałem ich sprzedawać, żeby spłacić długi. Wiedziałem jednak, że Renia się wkurwi, zastanawiałem się więc, jak to ukryć. Po latach powiem tyle: zrobiłem błąd, że nie poszedłem do niej. Pewnie byłaby awantura, ale poszlibyśmy do banku i sprzedali te akcje. Przyznałbym się, dostałbym ostrą reprimendę i usłyszał od żony: „Słuchaj, albo z tym kończysz, albo, gdy się dowiem, że dalej chodzisz do kasyna, to koniec”.

Ale tak nie zrobiłem. Umówiłem się, że oddam całą sumę za miesiąc, ale miałem pieniądze po kilkunastu dniach, bo szybko pozatwierałem formalności w banku. Założyłem subkonto i wzięłem szybką pożyczkę – raty mieli ściągać sobie z automatu, gdy przychodziła pensja. Zero ryzyka. Przełałem całość długu, a tu telefon, że pieniądze przyszły, ale jest ich za mało, bo zaczął się już kolejny tydzień i należą się dodatkowe odsetki. Mówię, że dokładnie to obliczyłem i przełałem kasę za 12 dni. Ale usłyszałem, że gdy zaczyna się ósmy dzień, to tak, jakbym wisiał im pieniądze za dwa tygodnie. Oczywiście dorzuciłem im, co musiałem.



Po wszystkim ponad pół roku nawet nie myślałem o kasynie. Ale już samo to, że udało mi się z tego wykaraskać, dało mi złudne poczucie, że w potrzebie pójść sobie do banku, jakoś wszystko załatwię i żona się nie dowie. Popęliłem wtedy największy błąd w życiu. Trzeba było wyrzygać całą prawdę i może później nie zdarzyłoby się to, co się stało.

„Gianni” jak zwykle nie bierze jeńców, nie boi się poruszać najtrudniejszych tematów, jest do bólu szczery i bezpośredni.

Opowiada o korupcji w polskiej piłce, aferze z papierosami, mówi o uzależnieniu od hazardu i o wypadku, który nazaczył całe jego życie. Dzięki tej lekturze odkryjecie na nowo nie tylko gwiazdę polskiej piłki i bezkompromisowego komentatora, ale też człowieka, jakiego nie znaliście



**DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ  
I ZAMÓW JUŻ TERAZ**



10 LAT RAZEM  
SINE QUA NON